

Czas działania

Powiadała, jak się ich spyta, że demonstrowali przeciw. To spośród nich, politycznie niewyrobionych i życiowo naiwnych, doświadczeni gracze, cyniczni prowodyrzy marcowych zająć — zdołał zwerbować do udziału w demonstracjach spore grupy. To im, niesamodzielnie myślącym i bezkrytycznie akceptującym wieści z „Wolnej Europy” — robotnicy przeciwstawili twarde i rzeczowe: czemu? Jesteście przeciw, ale przeciw czemu?

Oni, robotnicy Poznania — są skoroż do czynu i gotowi do poświęceń. Ale muszą wiedzieć po co, dla czego, o czym. Są rzeczowi i konkretni.

Stąd — rezolucje. — Żądamy ujawnienia — ukarania winnych — chcemy pracować w spokoju.

Rezulucje i masowe zebrania. Wielkie spotkanie z kierownictwem wielkopolskiej organizacji partyjnej, znowu rezolucja, przemówienie Władysława Gomułki, słuchane powszechnie. I znowu pytania, uwagi. Potrzeba pełni zaufania do rozstrzygnięcia robotników. Dość klajstrowania różnych spraw. Internacjonalizm to walka z nacjonalizmem, żydowskim — też. A zmiany — za wolne. Szybciej i — konkretniej. Dlaczego tak się dzieje? Komu i czemu to zawdzięczamy?

WIESŁAW zapowiedział rozważenia wielu spraw przed Zjazdem partii; powiedziałe było już sporo, powie się jeszcze więcej, do końca, wszystkich.

To byłby zacząć. To były drożdże, rozące początki przedzjazdowej dyskusji, która zaczęła się tym razem na długo przed tradycyjnym ogłoszeniem. Ludzie pracy widzą w tej dyskusji wielką szansę generalnego uporządkowania naszego życia politycznego i gospodarczego. To jest opinia partyjnych i bezpartyjnych, starszych ale i młodszych, jeśli myślimy kategoriami racji stanu.

Niedomogi efektów kontroli, od NIK-u poczynając; kwestia eliminowania syjonistów i wszelkiej maści kombinatorów, obsiadłych stanowiska, wspierających się, stwarzających dla swoich ciepłe posadki; biurokracyjne dziwolągi i pączkowanie administracji, plasterkowe leczenie skutków zamiast usuwania przyczyn.

Dosyć? Ano, problemów nabierało się — w tym wielkiego kalibru — diabelnie dużo. Gadają o nich nie tylko na partyjnych zebraniach i nie tylko robotnicy. Dokucza ludziom sprawa odpowiedzialności, która powinna być — takie jest powszechne odczucie — jednako konsekwentnie egzekwowana wobec wszystkich. Albo problemy związane z nadrzędnością komisji, czy całej rady narodowej, nad urzędami prezydentów. Nabrzmiła kwestia pozostaje tolerowanie ludzi nieudolnych, kadrowa karuzela.

Klasa robotnicza i związana z nią inteligencja, a w niemalym stopniu też środowiska wiejskie — coraz pełniej uświadamiają sobie istotę marcowych dni. Dzisiaj wiemy, że w grę wchodzi brutalna gra polityczna, lecz także określone, istniejące błędy i niedomagania; w grę wchodziły też, obok elementów prowokacji — zapalczywe głowy, na wierzch wylały istniejące u nas organizacyjne i materialne niedopatrzenia, a wszystko to w dodatku otaczała atmosfera pozabawionego podstaw zadowolenia z siebie.

Każdy z nas nosił w sobie nie od dzisiaj niepokój, czy nacechowane niezwykle humanitaryzmem metody, zastosowane w 56 roku wobec tych, którzy ponosili główną odpowiedzialność za metody minionego okresu i powinni byli wówczas odejść — przyniosły właściwe rezultaty. Był to niepokój uzasadniony. Polityczni bankruci przypominali nam o sobie w postaci marcowej ckawki. Złączeni wiezami krwi, interesów, klik, wsparci działanościami wrogich ośrodków za granicą i zasilani energią syjonistycznych idei, przysparzając rozmaitej kondyty elementy, niezadowolone z socjalistycznego kształtu nowej Polski — próbowali rozhuścić demonstracje, co miało w zamysłu inspirować, za grozić aktualnemu układowi sił.

Te makiawelskie rachuby pokrzyżowała właśnie klasa robotnicza. To pod jej adresem padają pełne niezręcznie ukrywane wściekłości słowa „wolnoeuropejskich” komentatorów, złych, że robotnicy nie poparli studenckich wystąpień. Nie poparli. Czujni. potrafili ocenić, że za fasadą studenckich poczyną kryją się siły wrogie partii, wrogie socjalizmowi i antynarodowe.

Marcowe dni, obok aspektów ponurych, na czoło których wysuwa się sprawa starć pomiędzy grupami naszej młodzieży i naszymi siłami porządkowymi, mają także inne aspekty: nasunęły niemało pytań. Odpowiedzi na nie oczekuje i poszukuje nie tylko młodzież, lecz całe społeczeństwo polskie.

Zrodziła się — i umacnia — nowa sytuacja w partii, rozwija się w środowiskach pracowniczych atmosfera otwartego dyskusyjnego dialogu, dawniej przemilczanych spraw, padają bariery tematów „tabu”, sztucznie stwarzane między innymi przez speców od zatykania ludziom ust kneblem, posądzonych o antysemityzm. Jest więcej szczerości, a zorganizowane, czy wybuchające doraźnie, dyskusje, przybierają na zasadniczości. Leży w interesie olbrzymiej większości z nas, by ożywienie polityczne, zrodzone przy stawianiu tamy marcowym zjawiskom — rosło i poszerzało się, w miarę zbliżania się V Zjazdu partii.

Rok 68 to nie rok 56. Inne panują dzisiaj w Polsce, nierównie korzystniejsze, warunki i o inne, aczkolwiek ogromnej rangi, cele chodzi. Kazimierz Kąkol (dwutygodnik „Pravo i Życie”, nr 6) następująco scharakteryzował odmienność aktualnej sytuacji w Polsce, w zestawieniu z okresem sprzed dwunastu lat:

1. nasz sojusz z ZSRR nie jest już obciążony błędami i uprzedzeniami;
2. przybyło nam niemało politycznej rozważa, a jednoznaczność moralno-polityczna narodu stała się faktem;
3. dysponujemy obecnie nierównie lepszym zasobem sił i umiejętności ludzkich, z którego pełnym i racjonalnym wykorzystaniem można wiązać śmiało nadzieje;
4. praktyka działalności państwa nie jest obciążona bagażem wypaczeń;
5. PZPR, licząca wówczas lat 8, to dzisiaj prawie 20-letnia, w praktyce jest ona już desygnowana na prawo narodu i pozostaje z nim najściślej związana.

Inne są więc warunki i bieżące cele są inne. Ale daleko się żni cel był i pozostaje ten sam: wcielić w czyn zasad ustroju socjalistycznego, bliskiego ludziom pracy, tak, by najlepiej realizowały się ludzkie nadzieje. Jest więc nam potrzebne gruntowne i szczere, wszechstronne i wnikliwe, nie hamowane oglądaniem się na wycinkowe racje — prze dyskusowanie wszystkich nas obchodzących, codziennych spraw.

W marcu minęła dziesiąta rocznica śmierci (zm. 23.III.1958) Floriana Witolda Znanieckiego, uczonego o rozgłosie światowym, słuszenie uznawanego za jednego z twórców polskiej socjologii. Poznań ma szczególne powody do chluby z powodu tego wielkiego uczonego. To przecież w naszym mieście był on przez dwadzieścia lat (od 1919 do 1939) profesorem uniwersytetu, to tutaj powstawały jego dzieła, tutaj też wychowywał swoich uczniów i oddziaływał na współpracowników, do których zaliczają się tacy uczeni jak J. Chałasiński, J. Szczepański i T. Szczurkiewicz.

Kierując Katedrą Socjologii na Uniwersytecie Poznańskim, F. Znaniecki zorganizował pierwszy na ziemiach polskich konkurs na pamiętniki ludzi pracy fizycznej. Z tego właśnie konkursu pochodzi tak szeroko później omawiany i powszechnie znany życiorys robotnika Jakuba Wojciechowskiego. Organizuje tu zresztą szereg innych konkursów, m. in. na życiorysy bezrobotnych, a także konkurs pt. „Czym było i jest dla Ciebie miasto Poznań?”, który przyniósł niezmiernie ciekawy materiał. Warto zauważyć, że dopiero teraz, w ostatnich latach, polscy socjologowie rozpisali podobne konkursy w takich miastach jak Warszawa, Wrocław, Lublin, Puławy, Płock, a także Poznań (gdzie zresztą nadano mu identyczny tytuł jak zrobił to Znaniecki). Można więc bez żadnej przesady powiedzieć, że to nie kto inny jak Znaniecki był niejako założycielem instytucji pamiętnikarstwa konkursowego robotników, chłopów i inteligencji. Tej instytucji, która tak wspaniale rozwinięła się w Polsce Ludowej, przynosząc obfity plon wydany w licznych tomach wspomnień dających kapitalny obraz naszych stosunków społecznych, zmian i przekształceń, na zego wzrostu.

Wydzielony - nie znaczy sam dla siebie

POGLĄDY
POLITYCZNE
POSTULATY

NR 335 31 III 1968 Rok V

Była to decyzja, którą przyjęto nie bez powątpiewania w jej słusność. Byli nawet i tacy, którzy wierzyli, że Sejm II kadencji uchyli ustawowe novum. Chodziło o dekret Rady Państwa z 31 grudnia 1956 roku o wyłączeniu niektórych miast — w tej liczbie Poznań — i nadaniu miejskim radom narodowym uprawnień wojewódzkich rad narodowych. Dekret wszedł w życie 1 stycznia 1957 roku.

Dzisiaj już trudno ustalić, kiedy zrodził się ów projekt. Nie ulega jednak wątpliwości, że władze miejskie miały na pewnym etapie wiele podstaw do lansowania postulatu o wyłączenie Poznania z województwa. Zmuszał do tego brak pewnych uprawnień, przypisanych wyłącznie Wojewódzkiej Radzie Narodowej i jej Prezydium, co wpływało hamująco na rozwój pewnych dziedzin życia lub uniemożliwiała dokonywanie szeregu koniecznych posunięć. Miasto rosło z każdym rokiem i wzrastał jego potencjał gospodarczy. Owe hamulce wyszły na jaw przy dokonywaniu rozliczeń budżetowych. Miejskie planiści wprowadzili wówczas wniosek, że Poznań tylko minimalną część wypracowanego dochodu zatrzymuje dla siebie. Znacznie większe limity przeznaczać trzeba było na rzecz innych miast, bądź przekazywać do budżetu centralnego.

Inny moment do sprawy wniósł projekt Rady Ministrów z II połowy 1956 roku o rozszerzeniu uprawnień rad narodowych. Wtedy to władze miejskie Poznania, uzasadniły w specjalnym piśmie, że decentralizacja zatrzymała się na szczeblu wojewódzkim. Wniosek Poznania, przesłany niemal równocześnie z podobnymi wnioskami Krakowa i Wrocławia, wzmacniał to twierdzenie szeregiem argumentów. Uzasadnienie obejmowało m. in. takie dziedziny, jak remonty, sprawy kwaterunkowe, na które miasto nie mogło mieć decydującego wpływu, mimo narastającego problemu mieszkaniowego, zagadnienia podziału budżetu, a także inwestycji, zwłaszcza szkolnych i sprawy służby zdrowia. Motywacja musiała być dobrze wyważona, skoro władze centralne uznały ją za słuszną i wydały dekret wydzielający miasto z województwa.

Słusność i celowość takiego posunięcia nie wykluczyła jednak proble-

Wydzielony - nie znaczy sam dla siebie

mu konieczności współpracy obu organizmów — wojewódzkiego i miejskiego. Stopniowo zaczęły się wyłaniać dziedziny, w których — z uwagi na wzajemną zależność i powiązania — należało łączyć zadania i pracę obu prezydentów rad narodowych.

Poznań znany jest w kraju — i coraz bardziej za granicą — ze swych wspaniałych okolic turystycznych wypoczynkowych. Trzeba więc było przy opracowywaniu planów rozwoju bazy turystycznej łączyć interesy miasta i województwa, jako że nie wszystkie ośrodki wypoczynkowe

cach Wielkopolski, jeśli nie wyraził na to zgody władza wojewódzka. To też słuszenie w skład zespołu d/s deklomercacji, działającego przy Prezydium RN Poznania, zaproszono przedstawiciela Prezydium WRN. Pozwalała to w planach rozwoju małych miast uwzględnić wnioski Poznania, których celem jest rozluźnienie w mieście fabrycznego tłoku.

Podobne zadania stoją przed Pracownią Planów Regionalnych, działającą wprawdzie przy Prezydium WRN, jednak opracowującą zagadnienia, wynikające z potrzeb całego regionu. Jedną z wspólnych sesji na ten temat zapowiadana jest na ten rok. Będzie na niej chodziło o ustalenie planów rozwoju Poznania do 1985 roku. Jak tu obradować bez współpracy specjalistów z województwa, lepiej przecież znających choćby zagadnienia powiązań niektórych innych miast i miasteczek ze stolicą województwa.

Można by mnożyć przykłady zgodnej współpracy i zbieżności interesów czy działania ramię w ramię. Wszystkie one potwierdzają możliwości rozszerzenia takiej współpracy na przyszłość i nie zaprzeczają słusznej zasadzie poszerzenia decentralizacji. Miniony okres udowodnił aż nadto, ile korzyści dało miastu oddzielenie administracyjne od województwa. Pozytywne głosy słyszało się także w terenie. Poznań na pewnym etapie zaczął się rozwijać bardziej prawidłowo, zaczął decydować sam o swoich problemach mieszkaniowych, planować inwestycje itp.

Było też w początkowym etapie regulowania owej współpracy kilka problemów spornych. Dla przykładu — wiele dyskusji wzbudzała kwestia tzw. strefy podmiejskiej. Ostatecznie i tutaj zwyciężyły obojętne potrzeby. Ograniczone zagadnienie do obszaru powiatu poznańskiego, a z inicjatywy wojewódzkiej instancji partyjnej połączono wysiłki i przystąpiono do opracowania wspólnego programu kierunkowego. Ma on objąć okres do 1980 roku. A problemów jest tu wiele, nie tylko te typowe wypoczynkowo-turystyczne. Chodzi o stworzenie bazy warzywno-owocowej, ustalenie rejonu skupu mleka oraz priorytetów w dziedzinie przebudowy dróg wylotowych i przelotowych.

A więc współpraca istnieje i rozwija się. Czy jednak zawsze i w przyszłości doprowadzane jest już do końca? Nie ma wprawdzie zagadnień konfliktowo-antagonistycznych, ale życie byłoby zbyt piękne, gdyby toczyło się po równej drodze. Oto mamy np. problem partycypacji województwa w budowie internatów w Poznaniu, choćby dlatego, że przecież duży odsetek młodzieży uczącej się i mieszkającej w mieście pochodzi właśnie z różnych rejonów Wielkopolski. Jest sprawa uregulowania odprowadzania ścieków ze Swarzędza by nie wpadały one do Jeziora Maltańskiego. Bez dogadania się władz miejskich i wojewódzkich sprawa ta nie będzie mogła być załatwiona należycie i szybko. Wreszcie — z najważniejszych — istnieje także problem lepszej wykorzystania nitki rurociągu nowego ujęcia wody dla Poznania. Lepsze wykorzystanie, to dołączenie do tej nitki maśteczek leżących „po drodze”. Problem także do załatwienia, ku zadowoleniu obu stron.

W kilku przytoczonych przykładach, miasto oczekuje m. in. decyzji władz wojewódzkich. Ale nie bądźmy jednostronni. Są i takie dziedziny, w których dawno już województwo podjęło decyzje zgodne także z interesem poznaniaków. Mam na myśli wiele inwestycji o charakterze turystycznym — budowę lepszych dróg, ośrodków wypoczynkowych, lokal gastronomicznych itp.

A więc w gruncie rzeczy nie ma spraw konfliktowych. Są jedynie problemy, które wymagają szybszych decyzji, energiczniejszego postępowania, częstszych konsultacji. Chodzi bowiem o to, by niektóre z ważnych spraw nie ciągnęły się latami, nie były stale odkładane „ad acta”. Myślą przewodnią współpracy powinien być bowiem wspólny interes całego regionu. Podstawę działania widzę w lepszym zezębieniu się tych wszystkich trybów, które w tej współpracy muszą i powinny zawsze dobrze pracować. Głównie dla stałego podkreślenia, iż zwrot „wydzielony” nie znaczy — miasto samo dla siebie czy odwrotnie.

Nadto — jest we współpracy między Poznaniem a województwem wiele elementów możliwych do naśladowania i przejmowania przez powiatowe miasta wydzielone naszego województwa. Ich współdziałanie z władzami powiatowymi powinno także przebiegać podobnie harmonijnie.

Wielki poznański socjolog

10-lecie śmierci Floriana Znanieckiego

Przypomnijmy wreszcie, że tutaj, w Poznaniu, założył Znaniecki pierwszy instytut socjologiczny, tutaj też zorganizował pierwsze polskie czasopismo socjologiczne pod nazwą „Przegląd Socjologiczny”. Dzięki niemu przede wszystkim poznański ośrodek socjologiczny był przed wojną tym, na który obracały się oczy wszystkich, którzy byli zainteresowani w Polsce tą dziedziną wiedzy. Warto zaś zdać sobie sprawę, że była to dyscyplina naukowa bardzo jeszcze wówczas młoda.

Po jakże płodnym okresie poznańskim pracował Znaniecki w USA, gdzie był nawet prezesem amerykańskiego towarzystwa socjologicznego i gdzie ogłosił szereg nowych prac. Nigdy nie utracił związków z

krajem, zawsze życzliwie obserwował rozwój socjologii polskiej. Napisał kiedyś: „... wyraźnie uznałem wielkie znaczenie kulturalne twórczego socjalizmu w dziejach ludzkości”.

Spółród licznych jego prac szczególne znaczenie ma zapewne 6-tomowe dzieło „The Polish Peasants in Europe and America” (Chłop polski w Europie i Ameryce). Nadto ogłosił m. in. książki: „Wstęp do socjologii”, „Socjologia wychowania”, „Rzeczywistość kulturowa”, „Prawa psychologii społecznej”, „Metoda socjologii”, „Działania społeczne”, „Nowoczesne narodowości”, „Społeczne role uczonych”, „Nauki o kulturze”, „Stosunki społeczne i role społeczne” (była to ostatnia praca jego życia). Niektóre z jego prac do dziś nie zostały jeszcze przyswojone polskiej nauce. Jak bardzo zaś wielką rolę odegrał Znaniecki w polskiej i światowej socjologii, świadczy fakt niezmiernie częstego odwoływania się do jego prac w książkach najwybitniejszych polskich i obcych socjologów. (ms)

Praktyczność i luksus

Gdy rodzina otrzymuje upragnione mieszkanie, wtedy wszystkie drobne codzienne potrzeby gospodarstwa domowego urastają do problemu, bo chciałoby się urządzić ten swój „dom” jak najlepiej, najprzyjemniej i najnowocześniej.

W naszym kraju co roku przekazuje się nowym lokatorom ponad 120 000 mieszkań, nie licząc tych, które budują oni sami, wyłącznie własnym wysiłkiem. Oto i pierwsza przy miarka tematu do problemu wyposażenia nowych mieszkań i możliwości zaspokojenia tych pragnień.

Jak w korcu maku

Mieszkania bywają różne, zależne od wielkości rodziny: jedno-, dwu-, trzy- i wieloosobowe. To już różnicuje potrzeby nabywcy sprzętu dla wyposażenia domu. Ale nie koniec i na tym. Są one zależne od standardu życiowego, od środowiska, a nawet zawodu, stąd rozmaite bywają możliwości, wymagania, gusty i upodobania domatorskie.

Inaczej na ogół pragnie urządzić swój dom nauczyciel pracujący wieczorem w domu nad książką i zeszytem, inaczej zaś człowiek, który jest zamożnym hodowcą rybek w akwariach. Jeszcze inne są potrzeby osób samotnie gospodarujących w swych nowych „kawalerkach” lub w starych sublokatorskich pokojach. Zupełnie odmienne będą wymagania długoletnich rodzin modernizujących jedynie mieszkanie — i młodych małżeństw, co to dopiero zamierzają „uwić sobie gniazdko”. Na koniec istnieją jeszcze duże różnice upodobań tych konsumentów, zależnie od regionu w jakim żyją.

Mamy więc zespół przeróżnych wymagań nabywcy, którym zwykło się nadawać ogólne określenie — popyt, zapotrzebowanie rynku.

9 mln. gospodarstw

Według statystyki mamy w Polsce ponad 9 milionów gospodarstw domowych, z tego przeszło 1,5 miliona to gospodarstwa jednoosobowe. Rodzina zaczyna być przez nas doceniana jako kategoria socjologiczna, w tym kierunku prowadzimy już odpowiednie badania. Ale jej konsumpcyjne potrzeby — jako kompleksowe zjawisko społeczne i ekonomiczne — są niedoceniane. Tymczasem w kategorii ekonomicznej te 9 milionów gospodarstw domowych (jest to swego rodzaju gospodarka planowana oddolnie) wytęcza pewne określone kierunki powszednich zakupów w sklepach. Oddziaływa zatem nieuchronnie na

wiele gałęzi gospodarki narodowej. Ot, choćby już przez to, że chce się mieć w domu sprzęt, który — jest niedozwony, jak np. rondel, czy miotła, który — ułatwia codzienną pracę domową, jak odkurzacz czy pralka; który wreszcie — chce się mieć, bo to coś do ozdoby, bo z tym jest w domu ładniej i przyjemniej (jak obraz czy świecznik). Niestety,

Domowy rekonesans

takiego zróżnicowania potrzeb konsumenta wytwórca nasz często nie dostrzega.

Zadziwiające porównania

Lekceważy się jeszcze wagę rodziny jako jednostki gospodarczej (co prawda — prowadzimy już badania budżetów rodzinnych), choć powinien to być obiekt analizy ze strony nie tylko socjologa i psychologa, lecz również organizatora pracy i ekonomisty. Dopiero co zajął się tym Komitet do spraw Gospodarstwa Domowego. Niedawno I Konferencja naukowa w Warszawie wytyczyła na razie ogólne kierunki bardziej konkretnego działania i szczegółowych badań.

W specyficznych konsumpcyjnych potrzebach naszego domu ujawnia się wielki społeczny problem. Jak wynikało ze spisu powszechnego, w 1960 r. ponad 3 miliony osób w kraju zajmowało się wyłącznie pracą domową. A zatem było ich więcej niż zatrudnionych w całym przemyśle uspołecznionym. Proporcje te i dzisiaj są nadal aktualne, zmieniła się jedynie wielkość liczb. Inne obliczenia* z 1965 r. wykazują, że codzienna domowa krzątania pochłania nam 36 mln. godzin rocznie, czyli więcej czasu niż poświęcono go wówczas w całym polskim przemyśle (30 mln. godzin) dla wykonania napiętych planów produkcyjnych. Wbrew przypuszczeniom podobna proporcja czasu, poświęconego dla domu i pracy zarobkowej występuje np. we Francji. A więc jest to ogólne społeczne zjawisko, które trzeba widzieć i kształtować dla naszego pożytku. Każde usprawnienie pracy domowej przez zastosowanie zmechanizowanego sprzętu, nowych środków chemicznych, przez możliwość urządzania przyjemniejszych i wygodniejszych mieszkań o dużej

użyteczności, daje szansę uzyskiwania dodatkowego wolnego czasu dla odpoczynku.

Tani... luksus

Poczynione tu porównania dowodzą, że te różnicowane potrzeby stanowią niebagatelny czynnik rozwijania pewnych dziedzin produkcji przemysłowej, która może zachęcić do społecznie korzystnych zmian w strukturze spożycia. Ujawnianie i rozwijanie potrzeb ludności dla lepszego organizowania jej domowego ogniska stwarza więc możliwości dokonania dwustronnych korzystnych zmian: ekonomicznych w sensie dynamizowania produkcji i społecznych — w kierunku wyzwalania człowieka od żmudnych zajęć domowych, a tym samym poprawienie jego bilansu czasu przeznaczanego na wypoczynek, pracę społeczną itp.

Czy wymaga to od wytwórców wielkich nakładów, ekstru surowców? Bynajmniej. W dziedzinach, w których powstało już względne nasycenie rynku (telewizory, radiodobrynie, pralki, lodówki, rowery itp.), trzeba zadbać o nowy kształt lepszy wzór, nowe zastosowanie. Ale przecież nie tylko o to chodzi. Paradoks polega na tym, że ciągle jeszcze do luksusu zaliczać trzeba posiadanie np. w kuchni dobrego otwieracza wecków, czy szczypców do ciasta. Bo spróbujcie te drobniaki gdzieś kupić, w naszych sklepach. A toć to tani luksus!

Zaspokoić te zachcianki może więc i drobny miejscowy wytwórca i duży wyspecjalizowany producent. Byłoby tylko doceniono powszechnie luksus — życia w praktycznym wyposażeniu naszego mieszkania.

*) Wyczerpanie Komitetu do spraw Gospodarstwa Domowego.

FILM Życie z dnia na dzień

„ZNAŁEM JĄ DOBRZE” — film produkcji włosko-francusko-zachodniemieckiej. Scenariusz: R. Maccari, E. Scola, A. Pietrangeli. Reżyseria: Antonio Pietrangeli. Wykonawcy: Adriana — Stefania Sandrelli, agent reklamowy — Nino Manfredi, były aktor — Ugo Tognazzi, maminsynek Giacomo — Robert Hoffmann, oszust Dario — Jean — Claude Brialy, pisarz Fausto — Joachim Fuchsberger, bokser Bietolone — Mario Adorf, „agent prasowy” Morganelli — Franco Fabrizi, przyjaciółka Adriany — Karin Dor, Elise — Veronique Vendell i inni. Nagrody za najlepszą produkcję i najlepszą reżyserię na MFF w Mar del Plata, 1966.

Mężczyźni skłonni są bardzo łatwo przypisywać sobie doskonałą znajomość kobiety, z którą łączą ich coś więcej niż przyjaźń. Wydaje im się nawet dość często, że „znali ją dobrze”; to że znali ją bardzo krótko, że właściwie nigdy z nią poważnie nie rozmawiali — nie ma dla nich żadnego znaczenia.

Na tym założeniu opiera się nowy film Pietrangelego — świetnego malarza współczesnych obyczajów włoskich i ich bezlitosnego satyryka. Bohaterem filmu jest dziewczyna, pochodząca z biednej rodziny wiejskiej, wychowana w warunkach moralnie surowych, która wyrwa się do wielkiego miasta i tam robi karierę typową dla dziewczyny pięknej, bez wykształcenia i zawodu i... bez skrupułów. Nawiasem mówiąc zastanawia jak postać tego typu dziewczyny fascynuje filmowców. W krótkim czasie oglądaliśmy na tenże temat — z filmów wybitniejszych —

„Darling” i „Galię”, nie licząc serii innych.

Otóż nasza Adriana, doskonale grana przez Stefanię Sandrelli, żyje sobie w wielkim mieście bardzo lekko, całe jej życie to taniec i zabawa, swobodnie przechodzi z rąk do rąk, przyjaciół ma furę, którzy pomagają jej stopniowo zdobywać coraz wyższe kręgi towarzyskie. Oczywiście ci przyjaciele cenią sobie jedynie urok jej pięknego ciała, wszystkie inne zapewnienia to bajeczki dla dzieci, w które Adriana początkowo naiwnie wierzy. Wszyscy też ci przyjaciele postępują z nią w zasadzie podobnie, wykorzystują i posyła ją dalej. No i uważają, że „znali ją dobrze”.

Jednakże Adriana powoli zaczyna rozumieć swoją sytuację, zaczyna patrzeć na otoczenie coraz trzeźwiej, coraz zimniej, zaczyna czuć swoją samotność i brak perspektyw, mimo nieustającego wokół niej podniecenia, zabawowego wiru, tempa i zgiełku. Pewnego razu, gdy świadomość bezsensowności takiego istnienia dotyka ją szczególnie głęboko Adriana podejmuje drastyczną decyzję, która stanie się szokiem dla wszystkich, którzy „znali ją dobrze”.

Adriana — jak i całe jej otoczenie — są charakterystycznym produktem naszych czasów, ale charakterystycznym nie tylko dla rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Znamy ją i u nas, choć zapewne nie tak często, podobne postawy, podobne postaci i style życia. Krytyczna refleksja idąca z filmów takich jak właśnie film Pietrangelego jest potrzebna także niektórym kręgom młodych ludzi w naszym kraju, zwłaszcza tym zafascynowanym bliznami życia na Zachodzie.

TEATR

Wśród songów Brechta

Ze studenckim teatrem „Nurt” na Winogradach można się spierać, z reguły jest o co. Tylko słabe zespoły nie stwarzają bowiem żadnych okazji do dyskusji. Teatr na Winogradach przyzwyczaił nas natomiast do ambitnych spektakli, zarysował odrębny na naszym gruncie styl inscenizowania piosenek, własną formułę teatru piosenki. Nie zawsze jednak można było zgodzić się z jego realizacjami scenicznymi. Z reguły brakowało im i brakuje nadal jednej cechy: prostoty, umiaru, umiejętności skupienia uwagi na tym, co chce się powiedzieć, a nie jakimi środkami zamierza się wygrać pewne sprawy.

Nowa pozycja „Nurtu” — „Kwiaty zła” — jest już bardziej niż poprzednie skupiona na wyrażaniu nastrojów i treści, niż na samej teatralizacji piosenki.

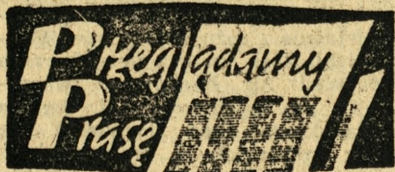
Dwie sprawy nadal jednak w „Nurcie” niepokoją, budzą sprzeciw: jedna to tendencja do pewnego przesadnego symbolizmu i powracania do tradycji niemieckiego ekspresjonizmu lat trzydziestych, druga to hegemonia piosenki w całości spektaklu. Realizatorzy zdają się tu po prostu zapominać, że nie można grać wszystkiego na jednej nucie, że piosenka potrzebuje dłuższej pauzy i nawet przy najlepiej skonstruowanym scenariuszu potrzebny jest jeszcze równoważnik poezji i aktorskiego słowa. Zaletą nowego montażu zaprezentowanego w „Nurcie” jest ciekawie pomysły scenariusz i sam pomysł całości widowiska. Brechtowskie songi i różne piosenki lumpenproletariatu znajdują tu na scenie komotora i opoenta ze strony eleganckiego pana z towarzystwa... Sherlocka Holmesa. Je-

go komentarze znakomicie siedzą w całości spektaklu, wprowadzają w niezbędną w tego typu widowiskach chwilę refleksji, ściszenia tonu. Ciekawie pomysły został też montaż piosenek kompromitujących postawę żołnierza - kondotiera.

Wykonawco przedstawienie jest dość wyrównane, co wydaje się zaletą w zespołach posiadających przecież kilka piosenek o znaczniejszej w środowisku studenckim renomie jak: Karolina Szyman, Mirosława Kowalak. Inna rzecz, że one właśnie nie najszybciej się tu zaprezentowały, preferując wybitnie kabaretowy, a przy tym nieco sztampowy styl interpretacji piosenek. Na wyróżnienie zasługuje tu natomiast szczególnie Janusz Nyczak w roli Holmesa, dalej Stanisław Hofmański, Anna Ratusińska i Eugenia Hertz.

O. B.

Studencki Teatr „Nurt”: „Kwiaty zła” montaż wg scenariusza Wojciecha Burdowego w reżyserii Janusza Nyczaka, opracowaniu muzycznym Janusza Maraszk, scenografii Ireneusza Daczki.



Tematem dnia są nadal sprawy, które już zostały ujawnione bądź są ujawniane w związku z wydarzeniami niedawnych dni. Są one przedmiotem dyskusji i rozmów, wypowiadają się prawie wszystkie gazety. „Kultura” kontynuuje dialog z czytelnikiem w rozpoczętym przed tygodniem cyklu:

NASZE ZDANIE W NASZEJ SPRAWIE

Tym razem redakcja sięga do pytań kierowanych do niej przy rozmaitych okazjach w ostatnich dniach przez młodzież i na pytania te próbuje odpowiedzieć od razu. Oto jedno z nich:

„PYTANIE. Słyszymy, że wiecie, zgromadzenia studenckie i demonstracje są niewłaściwą formą wyrażania poglądów naszego środowiska. Istnieją przecież jednak sytuacje, kiedy normalne formy wydają się niewystarczające. Cóż wtedy mamy czynić?”

ODPOWIEDZ: my również uważamy — pisze „Kultura” — że atmosfera wiecu nie sprzyja przemyślanym sądom i decyzjom, zaczyna się działać prawa psychologii tłumu, dające przewagę emocji, a czasami hysterii nad rozsądkiem i słuszością. A ponadto w te formy łatwo jest włączyć się żywiolom, z którymi nie chcemy przecież sami mieć nic wspólnego. Jesteśmy pewni natomiast, że władze uczelni powinny wam umożliwić spotkania wydziałów czy lat studiów, gdzie znając się nawzajem i mając do siebie zaufanie, będziecie mogli mówić otwarcie o wszystkich sprawach, które was bolą i niepokoją. Opinie wyłożone w ten sposób, będą rzeczywistym wyrazem waszych poglądów i dlatego też, zgodnie z najbardziej autorytatywną zapowiedzią tow. Wiesława, zostaną z pewnością wysłuchane i rozpatrzone. Jest to więc możliwość rzeczywistego dialogu, o który się słusznie dopominacie.”

W zakończeniu tej publikacji „Kultura” zwraca się z uzasadnionym pytaniem do studentów, oczekując ich właśnie odpowiedzi:

„Używanie hasel — pisze redakcja — o niespornej wartości: demokracja socjalistyczna, wolność, prawda. Ale czy nie sądzicie, że hasła te mogą być urzeczystwione tylko w konkretnych warunkach naszego państwa, naszej władzy, socjalizmu? Przecież rzucanie tych hasel bez uświadomienia sobie realiów życia politycznego w naszym kraju i na świecie jest abstrakcyjną żonglerką słowną? Ze może nawet służyć działaniom, nad którymi nie panujecie?”

*

W wielu sprawach nie tylko studenci, ale i całe społeczeństwo otrzymało w ostatnich tygodniach odpowiedzi. Zgodnie z zapowiedzią Władysława Gomułki, mówi się o sprawach interesujących społeczeństwo coraz więcej. Jednym z takich przykładów jest publikacja Wojciecha Sulewskiego na łamach ilustrowanego magazynu studenckiego „Itd”.

SYJONIZM A SPRAWY POLSKIE

Autor przypomina jakże chyba mało znane fakty antypolską postawę nacjonalistów żydowskich w okresie powstań wielkopolskich i śląskich:

„Gdy w styczniu 1919 roku — pisze Sulewski — oddziały Armii Wielkopolskiej, prowadząc działania ofensywne przeciwko Niemcom, dotarli w okolice Zbąszczyńa oraz nad Notecą, okazało się, że przy końcu wojsk niemieckich walczących z powstańcami grupy syjonistycznych ochotników żydowskich. Prasa Powstańca Wielkopolskiego odnotowała też fakt ten, uważając słusznie, że stanowi on konsekwencję zdecydowanie antypolskiej postawy nacjonalistów żydowskich (...). Żydowscy robotnicy i uczniowie z Warszawy, Lublina, Radomia, rozbrajali w listopadzie dni 1918 roku, razem z Polakami w szeregach POW Niemców i Austriaków, ale na Śląsku syjonistyczni walczący wytrwali u boku Reichswehry z powstańcami. Nie było takiego oszczerstwa, takich kłamstw, jakich by prasa syjonistyczna nie rzuciła na Powstańca Śląskie. Znamy są antypolskie naciski międzynarodowych kół syjonistycznych na Konferencję Wersalską, która miała zdecydować o przyszłych granicach Europy. Ich rzecznicy:

angielski premier Lloyd George i premier Włoch Vittorio Orlando zrobili wszystko, ażeby Polska nie dostała nawet Katowic i Chorzowa. Nie potrafili jednak w ostatecznym wyniku przekreślić całkowicie bohaterstwa zrywu powstań śląskich.

Niemiecy szowiniści nie zapomnieli o tym, że w dniach walk nad Kanalem Kozielskim na Górze św. Anny syjonistyczne koła udzieliły im daleko idącego poparcia. Prasa Republiki Weimarskiej pisała na ten temat dużo i z wielkim uznaniem. Szczególnie podniosła zasługi syjonistycznych ochotników z Wrocławia, którzy tak licznie u boku niemieckich oddziałów oficerskich pod wspólnym dowództwem pułkownika von Eicken pospieszyli na Opolszczyznę, aby tam walczyć z III Powstańciem Śląskim”.

Autor stwierdza, że straszliwa tragedia Żydów spowodowana przez hitlerowców nie nauczyła niczego syjonistów, co przede wszystkim odnosi się do syjonistów działających w Polsce.

„Działacze syjonistyczni — pisze — skupieni w Centralnym Komitecie Żydów Polskich, nawiązali stosunki z reakcyjnym podziemiem, a zwłaszcza z WIN. Choć w terenie bandy „Łupaszki”, „Zapory”, „Ognia”, „Warszycy” i „Orlika” mordowały Żydów, Zarząd Główny WIN odbierał pieniądze od syjonistów. Patrzyli na to „przez palce” pp. Światło, Bristlerowa, Różański, Romkowski, Mietkowski i inni złowrogiej pamięci „bohaterzy” polskiej odmianny berio-wszczyzny. Szkoda, że wielki „specjalista” od okresu walk z bandami p. Ignacy Blum nie napisał w swoich publikacjach o kontaktach winowsko-syjonistycznych. Rzucił natomiast w nich sporo oszczerstw na ludzi znanych z patriotycznej postawy, zasłużonych w walkach z hitlerowcami.

Korzystając z protekcji Jakuba Bermana i Romana Zambrowskiego syjonistyczni nadal usilowali i podtrzymywali wśród mieszkających w Polsce Żydów nastroje izolacjonistyczne. (...)

Niektórzy syjonistyczni uplasowali się na froncie ideologicznym i tu właśnie wyrażali oni sprawę polską i budowniczo socjalistycznemu wielkie szkody. Tylko bowiem przez już wolę określonych osób, mogły ukazywać się w polskich wydawnictwach takie książki, jak „Wehrmachtfolge” Józefa Makowskiego czy „Wojna Żydowska” Henryka Grynberga, poświęcone szkalowaniu

narodu polskiego i narodów radzieckich”.

Taka kampania syjonistyczna nie ustaje, przeciwnie wzmacnia się. Oto „Żołnierz Wolności” (nr 76) demaskuje

METODY MISTRZA KLAMSTWA

Autor publikacji W. Zieliński przypomina, że w „Sztandarze Młodych” z 18 bm. ukazał się artykuł „Prawda o klubie „Babel”, w którym Ryszard Gontarz pisał m. in.: „W marcu ub. roku wystąpiła w klubie piosenka IZABELA CZAJKA-STACHOWICZ — Wychwałała ona armię Izraela i propagowała wśród studentów powieść Urisa „Exodus”... Książkę tę Leon Uris wydał w Tel-Awiewie także w języku polskim. Co zawiera ta wychwalana i propagowana przez Czajkę-Stachowicz książka? Oto fragment, którego nie powstydziliby się mistrz propagandy hitlerowskiej Goebbels:

„Żydowska Organizacja Bojowa” — pisze Uris — umacniała swoje pozycje, rozpaczliwie wzywając polskie podziemie do okazania pomocy Żydom getta. Nie nadchodziła jednak broń, ani pomoc ze strony polskiego ruchu oporu... O trzeciej nad ranem wyborowe oddziały SS-owców w liczbie trzech tysięcy, wzmocnione oddziałami Polaków i Litwinów otoczyły getto ciasnym pierścieniem”.

Polskiemu czytelnikowi — pisze W. Zieliński — nie trzeba przypominać i przytaczać faktów udzielania pomocy walczącym Żydom w getcie przez Armię Ludową i Armię Krajową. Nie trzeba również wyjaśniać, że nie było żadnych oddziałów polskich walczących ramię w ramię z Niemcami. Jednak dla pana Urisa nie ważne są fakty historyczne, bo cel jaki sobie postawił to oczernianie narodu polskiego!”

W tym samym dzienniku znajdujemy publikację o ścisłej współpracy wywiadu izraelskiego z ośrodkami wywiadu NRF. To właśnie współpraca zachodniemieckich rewizjonistów i izraelskich ekstremistów jest jednym ze źródeł, z których płynie antypolska działalność syjonistyczna. WUZET pisze o tym, jak Johann Wolfgang Sigmund Lutz i jego żona Waltraud — obywatelki Izraela — przeszli w 1961 roku na służbę wywiadu NRF i pod pozorem pracy

w przedstawicielstwie Bonn w Zjednoczonej Republice Arabskiej, zajmującym się kupnem i hodowlą koni — uprawiali działalność wywiadowczą na rzecz Izraela i NRF.

Nie tylko syjonistyczni uprawiają politykę zbieżną z hasłami inspiratorów ostatnich wydarzeń. Istnieje ideologiczne i polityczne powinowactwo między koncepcjami politycznymi inspiratorów tych wydarzeń a reakcyjną postawą jaką reprezentuje Juliusz Mieroszewski, który w emigracyjnej paryskiej „Kulturze” pisuje pod pseudonimem Londyńczyk. Szkic poświęcony antynarodowej linii politycznej tego człowieka drukuje w „Polityce” Henryk Zdanowski pt.

CREDO LONDYŃCZYKA

W szkicu tym znajdujemy m. in. wprost dywersyjne koncepcje Mieroszewskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Co proponuje Mieroszewski?

„Skończyć — czytamy — z „antyniemieckim szowinizmem” (nie ma zresztą u nas takiego, — vide nasz stosunek do NRD, jest tylko propaganda antymilitarna, antyodwetowa i antyrewizjonistyczna) i — (...) oprzeć się o Niemcy. Oczywiście, za cenę antykomunizmu, do którego dołożyliśmy jeszcze spory kęs Ziemi Odzyskanych i pobogosławieni zostaniemy sąsiedztwem IV Rzeszy. Tę grę rozgrywaliśmy już w przeszłości z III Rzeszą — wiadomo z jak fatalnym skutkiem. A więc może Londyńczyk wolałbyśmy dogadywali się z Bonn jako sojusznicy Związku Radzieckiego, ale za jego plecami i wbrew jego interesom? Powinien wiedzieć, że byłaby to rozgrywka z wyłączeniem wszelkiego instynktu politycznego, nie mówiąc już o samozachowawczym. ZSRR liczy się zawsze „oczko wyżej” niż Polska w stosunku do Niemiec, nie mówiąc już o tym, że my z kolei nie mamy najmniejszego zamiaru proponować Niemcom cokolwiek. (!)

To stanowisko Polski socjalistycznej jest stanowiskiem całego narodu, a dyktuje je interes państwowości polskiej. Ale różnej maści wicherzyce chcieliby działać właśnie wbrew naszym narodowym interesom. Tego się nie doczekają.

LEKTOR